

**Jan M. Fijor**

# **Jak zostałem milionerem,**

**czyli dlaczego jedni mają, a drudzy nie mogą  
związać końca z końcem**

**Fijor PUBLISHING**

**Warszawa 2016**

## ROZDZIAŁ I

# Dzieciństwo

Czasy dzieciństwa pamiętam jak przez mgłę. Umysł dziecka nie był w stanie pojąć złożoności przemian, zachodzących w otaczającym mnie wtedy świecie. Jak bardzo były to sprawy skomplikowane, niech świadczy fakt, że do dzisiaj, mimo upływu ponad siedemnastu lat od zakończenia bolesnej epoki PRL, większość ludzi nadal nie rozumie, co się wtedy z nimi działo. Są nawet tacy, którym marzy się powrót do czasów mojego trudnego dzieciństwa. Zanim je opiszę, opowiem nieco o swojej rodzinie. Zacznę w kolejności biologicznej, choć hierarchia ważności bliskich mi osób była nieco inna.

Mama pochodziła ze wsi spod Myślenic, skąd w dość młodym wieku – już jako całkowita sierota – wyjechała na służbę do Krakowa. Pracowała najpierw jako pomocnica do dziecka, potem „asystentka” pewnego wziętego krakowskiego dentysty, gdzie miała okazję zetknąć się z wielkim światem, co w dużym stopniu ukształtowało jej późniejszy światopogląd: połączenie zdrowego rozsądku małopolskiego chłopstwa, snobizmu warstw mieszczańskich i gorliwej religijności.

Z ojcem nie rozmawiałem prawie w ogóle. Pracował w nocy, w dzień spał. Umarł w wieku 46 lat. Mama powtarzała, że zmarł

tak wcześnie z powodu braku snu, co akurat prawdą nie było, bowiem na kilka dni przed śmiercią, miejscowy lekarz dentysta, Panie świeć nad jego duszą, zapisał mu mocne tabletki nasenne, a że ojciec przechodził właśnie zawał serca, nie miał prawa przeżyć. Mimo iż byłem dzieckiem, miałem w końcu 12 lat, nie mogłem się z jego śmiercią pogodzić. Bardzo mi go w młodości brakowało. Nie zdążył mnie nawet nauczyć posługiwania się młotkiem czy śrubokrętem. Był chorowity, palił, życie miał krótkie i dość pechowe. Na kilka lat przed wojną rozpoczął studia, ale rodzice odmówili płacenia za nie, więc musiał wziąć się do pracy. Wojnę przeżył w partyzantce, potem był na robotach w Niemczech. Po kapitulacji osiedlił się w Wałbrzychu, gdzie wraz z siostrą otworzył sklep spożywczy, a następnie – już samodzielnie – restaurację. Prowadził ją do początku 1947 roku; ostatnie dwa lata już z moją mamą. Biznes szedł podobno nieźle, jednakże za namową mamy ojciec postanowił pójść w ślady swego kuzyna i osiedlić się w Zakopanem. Sprzedał lokal za 200 tys. dol. jakiemuś sowieckiemu pułkownikowi i wyjechał w góry. O tym, że dolary były fałszywe, zorientował się tuż przed moim urodzeniem, kiedy wraz z mamą postanowili kupić pod Giewontem dom. Wpadł w depresję, z której wyciągnęła go dopiero bezpieka w 1953 roku. Siedział krótko, mimo to po wyjściu z więzienia był wrakiem człowieka. Łatwo się męczył, denerwował, nie miał cierpliwości do dzieci. Dlatego moim wychowaniem zajął się Dziadek, dr Franciszek Kowalski.

Jest to pewnie z mojej strony brak lojalności wobec rodziców, jednakże w czasach dzieciństwa Dziadek był dla mnie najukochańszym człowiekiem na świecie. Dziadek był mądry, ciepły, cierpliwy i kochał mnie nad życie, co było o tyle dziwne, że... wcale moim dziadkiem nie był.

Franciszek Kowalski i jego żona, Luba, Gruzinka polskiego pochodzenia byli naszym sąsiadami z parteru, a ponieważ nie mieli własnych dzieci, chętnie zajęli się wychowywaniem mnie. Byłem swego rodzaju rekompensatą za śmierć syna dziadka z pierwszego małżeństwa, też Jana, który zmarł niedługo po moim przyjściu na świat.

Jan był rówieśnikiem mego taty. Wyjechał przed wojną na studia do Londynu. Tam się dowiedział, że pod jego nieobecność Dziadek porzucił żonę dla „pewnej Gruzinki”. Jan sprowadził więc matkę do Londynu i praktycznie zerwał z ojcem kontakty. W 1940 roku już jako John Kowalski wstąpił do brytyjskiej piechoty, gdzie dorobił się stopnia pułkownika. Tuż po wojnie wyjechał do pracy w gubernatorstwie w Nairobi (Kenia) i słuch po nim zaginął. Wiele lat później nadeszła z Londynu przesyłka, a w niej dokumenty Johna i list z Home Office informujący, że „Colonel, John Kowalski stracił życie w czasie polowania, rozszarpany przez lwa”. To tragiczne wydarzenie sprawiło, że zostałem „wnukiem” Franciszka Kowalskiego.

Kiedy przyszedłem na świat, Dziadek był już stary i bardzo chory. Przesiedział rok, torturowany w więzieniu sowieckim, z którego uciekł, nie na długo zresztą, bo wkrótce znalazł się w Dachau. W obozie nabawił się zapalenia płuc, z którego właściwie nie wyszedł przez następne 15 lat swego życia. Zmarł na niewydolność układu oddechowego w 1960 roku, trzy miesiące po śmierci mojego ojca. Miał 80 lat.

Dziadek wywarł ogromne piętno na kształt moich późniejszych zainteresowań i system wartości, choć zdałem sobie z tego sprawę dopiero wiele lat później. Pamiętam takie zdarzenie. Miałem wtedy około 6 lat. Mama urodziła właśnie młodszego brata, ojciec – jak zwykle w dzień – spał, stąd cały swój wolny czas spędzałem z Dziadkiem. Opowiadał mi o swoich podróżach, o wojnie, pozwalał przysłuchiwać się rozmowom z klientami, zabierał ze sobą do sądu na rozprawy. Najbardziej jednak lubiłem niedzielę. W każdą niedzielę chodziliśmy razem do kościoła. Po śmierci syna Dziadek stał się „nowonarodzonym chrześcijaninem”, pokutującym za grzechy młodości. Zawsze po wyjściu z Mszy św., Dziadek dawał mi banknot – dwu- czasem pięciozłotowy, bym go oddał jakiemuś żebrakowi. „Jałmużnę trzeba dawać, bo sami możemy jej kiedyś potrzebować – powtarzał – jeśli wszyscy choć raz dziennie będą dawać, to nikt nie będzie cierpieł biedy!”. Po Mszy św. dyskretnie wskazy-

wał, komu mam wręczyć jałmużnę, po czym przyglądał mi się z daleka, obserwując, czy robię to z należytą pokorą. „Pokora” oznaczała obowiązek niskiego pokłonenia się obdarowanemu biedakowi. Było to dla mnie absolutnie niezrozumiałe; nie dość, że daję komuś pieniądze, to mam mu jeszcze za to dziękować? Dziadek jednak był taki mądry i kochany, że nawet mu o swoich wątpliwościach nie mówiłem.

Tej niedzieli też mi dał pięć złotych. Wybrał żebraka w czapce zsuniętej na oczy, siedzącego na szczycie schodów. Podszedłem. Biedak był niewidomy. Położyłem banknot na dnie czapki i wróciłem do dziadka.

– A gdzie pokora? – spytał stanowczo – Nie pokłoniłeś mu się.

– Dziadku, on jest ślepy, po co mam się ślepemu kłaniać?

– To nic, synku, idź pokłoń się, bo on może przecież ślepego udawać.

Mimo iż nie zrozumiałem wtedy lekcji dziadka, zapadła mi w pamięć. Odtąd, kiedy mam okazję, daję ofiarę. Sam albo za pośrednictwem organizacji dobroczynnej wybieram dziecko czy ubogą rodzinę, na rzecz których wpłacam systematycznie określoną kwotę, zwykle kilkadziesiąt złotych miesięcznie. Nie jest to wiele, ale daje mi lepsze samopoczucie i przypomina Dziadka. W czasie pobytu w USA za pośrednictwem Christian Children’s Fund, utrzymywałem np. dziewczynkę z Boliwii i chłopca z Kolumbii. Planowaliśmy nawet dziewczynkę adoptować, lecz ksiądz, który się na miejscu jej rodziną opiekował, był zdania, że odłączenie jej od reszty rodzeństwa, którego miała jedenaścioro, może być dla nich wszystkich traumatyczne. W Polsce podobną działalnością zajmują się dziś misjonarze, O.O. Pallotyni. Opiekujemy się właśnie sierotami czystki etnicznej w Rwandzie. To nie są jakieś ogromne wyrzeczenia. Za równowartość paczki papierosów dziennie można utrzymać i wykształcić dwoje dzieci.

Specjalnością Dziadka były mediacje, przy pomocy których starał się zwaśnione strony – przeważnie krewkich górali

– godzić. Był to dziwny prawnik – stronił od sądu. Tłumaczył zwaśnionym, że w sądzie tylko jedna strona ma rację i on ją może wskazać bez stawania przed sędzią. Specjalizował się w sporach o miedzę i w doradztwie w interesach. Słyszał wśród górali z życiowych mądrości, na przykład tej, że „szewc, który chce robić pieniądze, umrze biednym. Szewcem bogatym będzie ten, który robi dobre buty”. Zrozumiałem te słowa dopiero 30 lat później, już w Ameryce.

Opowiadał mi godzinami o swoich polowaniach na aligatory w bagnach Kostaryki, gdzie na początku XX wieku pracował jako urzędnik jednej z amerykańskich firm, dostarczających drewna na budowę kanału panamskiego. O poszukiwaczach diamentów w kimberlitach Republiki Południowej Afryki, o wypadach na safari ze swoimi przyjaciółmi, Stanisławem Mycielskim, podróżnikiem i pisarzem i Eustachym Sapięgą, awanturnikiem i myśliwym. Nikt nie wywarł na moje dalsze życie większego wpływu niż Dziadek Kowalski. Dziadek, który był mi obcym człowiekiem. To jego opowieści sprawiły, że od dziecka marzyłem o egzotycznych krajach i podróżach. Nie trudno więc zrozumieć, dlaczego po 9 latach systematycznych odmów paszportowych i życia jak w klatce, mam tak głęboką awersję do socjalizmu i innych systemów ograniczających ludzką wolność i aspiracje. Mimo całej tej patologii, miałem jednak szczęście – zwiedziłem ponad 70 krajów na sześciu kontynentach i zwiedzam dalej, co jest dowodem na to, że jak się czegoś bardzo pragnie, to się to osiąga. Byłem więc w Puerto Limon w Kostaryce i w Colon w Panamie, w miejscach, o których Dziadek mi opowiadał, byłem w Cape Town, gdzie działał na początku XX wieku, za kilka miesięcy jadę na wyspę Lamu w Kenii, gdzie mieszkał prawie rok.

Byłem za młody, żeby skorzystać z wszystkich jego rad i doświadczeń. Bardzo mnie kochał, troszczył się o mnie, zaraził mnie ciekawością świata, ciekawością ludzi i książkami, które odkładał tylko na czas pogawędki ze mną. Mimo iż znaliśmy się zaledwie 12 lat, wywarł na mnie piętno, które nieustannie w sobie czuję.